



TEMPERATURA WARSZAWY

Migające kolory przejeżdżających samochodów. Szum tramwaju. Gwar tłoczących się ludzi. Cały ten zgiełk dla niewprawionych jest opresją. Dla nas stał się idealnym gruntem dla rozmowy z Maciejem Zaborowskim – akwarelistą, architektem i biznesmenem. Bo dla niego ten chaos jest pożywką, inspiracją i bazą dla twórczości.

Aleksandra Binkowska, Michał Poddany

Spotkaliśmy się w knajpcie w śródmieściu Warszawy. Popołudniowe słońce wydobywało kontrasty z elewacji kamienic i opadało leniwym ciepłem na ulice. Maciek przywitał nas serdecznie, ze swobodą osoby, która tę porę dnia i przestrzeń w pełni oswoiła. Bo właśnie taki nastrój i taką temperaturę mają w sobie jego akwarele, które można było niedawno oglądać na wystawie „Zgiełk” na ulicy Bagno w starej, niegdyś żydowskiej dzielnicy Warszawy.

Rysunek, mokry podrys i akwarela

Maciek ma nieortodoksyjny stosunek do własnych prac co sprawia, że nie zamyka się w stereotypach, w których zwykli siebie umieszczać inni „adepti sztuki cyrkowej” – jak ich określa nasz rozmówca. Kiedy wspomina o sztuce, nieco się kryguje i ironicznie uśmiecha. Niechęć, by tak nazwać jego prace, jest dla nas niejasna, bo to, co widzieliśmy na wspomnianej wystawie, absolutnie nas porwało. Maciek jednak naszą

reakcję odczytuje jako zwykłą grzeczność. Gdy opowiada o korzeniach swej twórczości, zaczynamy rozumieć, skąd bierze się ta skromność. Akwarela na początku była dla niego narzędziem, którego używał w doskonałości umiejętności rysunkowych na studiach architektonicznych na warszawskiej Politechnice. Bo zwykle zaczyna się od rysunków ołówkiem, które można dynamizować, przechodząc do „mokrych” technik, takich jak pióra czy akwarela, nadających pracy światła i krwistości.

W czasach jego studiów pracownia rysunku na tym wydziale przeżywała jeden ze swoich najlepszych okresów. Wtedy były jeszcze czas i miejsce, by cyzelować technikę i widzieć w rysunku czy akwarceli coś więcej niż zwykłą wizualizację obiektu. W przeciwieństwie do tego, czego w tym czasie uczono na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, najważniejsza pozostawała materia obrazu, a nie ekspresja twórcy. Co u Maćka, mimo upływu lat, wciąż jest mocno wyczuwalne.

Kolory na Ponte di Rialto

Maciek ze śmiechem wspomina, jak w młodości udało mu się wydębic od ówczesnej władzy paszport i pojechać z kolegami do Wenecji. Chcieli zyskać uznanie, malować weneckie weduty i sprzedawać turystom. Szybko jednak okazało się, że lokalna „mafia artystyczna” nie zamierza wpuścić na swój teren nikogo „spoza układu”. Można było za to malować w charakterze podwykonawcy, co zapewniało godziwy byt – w przeliczeniu na złotówki uzyskiwało się kwoty stanowiące wielokrotność ówczesnej średniej krajowej. Zaborowski wspomina, jak z kolegą stworzył coś na kształt „linii produkcyjnej”. Powielali ten sam obraz: widok z Canale Grande na Ponte di Rialto, jeden z najbardziej rozpoznawalnych obiektów architektonicznych w Wenecji. Obrazki przechodziły przez kolejne fazy nakładania poszczególnych kolorów: woda, gondola czy czerwona

chusta gondoliera. Na koniec zostawało tylko jedno niezamalowane okno na szczycie korony mostu, ponieważ wiszące są na nim plakaty aktualnych wystaw z Wenecji zmieniały się co jakiś czas. Dzięki temu „artysta” sprzedający prace przy kanale domalowywał w ostatniej chwili niewralgiczny szczegół i oferował turystom „dzieło” prosto spod pędzla.

Oczywiście było to tylko zajęcie dorywcze w czasach transformacji, raczkującego polskiego kapitalizmu. Później wykonywał wizualizacje projektów architektonicznych na zlecenie niemieckich pracowni. Dostawał rzuty i rysunki architektoniczne elewacji – tworzył z nich fotorealistyczne obrazy, których biuro potrzebowało do prezentacji klientom finalnego efektu. To była już poważna praca za poważne pieniądze, które w Polsce dawały wiele swobody, choć stanowiły ułamek tego, co mogli zarobić niemieccy konkurenci Maćka. Nic dziwnego więc, że nie cierpiał na brak zleceń. Wtedy nie było jeszcze Autocada – programu komputerowego, w którym obecnie wykonuje się takie wizualizacje. Wszystko trzeba było wykonywać ręcznie, bez możliwości nanoszenia wielokrotnych korekt, plany trzeba było właściwie zinterpretować już na starcie. Sama technika również była bardzo pracochłonna, bo opierała się na użyciu aerografu – urządzenia do rozpylania farby pod ciśnieniem – dawała za to efekt niezwykle realizmu.

Dziś Maciek ma firmę współpracującą z jednym z najlepszych deweloperów w Polsce. Wyrzeczenia i dyscyplina, które sobie kiedyś narzucił, wreszcie zaowocowały większą ilością czasu i brakiem konieczności liczenia się z każdą złotówką. Maciek osiągnął to, o czym większość polskich artystów tylko marzy – sam decyduje, co malować i kiedy. Jest swoim własnym mecenasem. Jego prace są autentyczne, bo nie musi oglądać się na mody i gusta. Podaje się jedynie surowej autokrytyce.

Zmagania z materią

Z rozmowy wyrywa nas dźwięk klaksonu którejś z taksówek. To pozwala nam na moment cieszyć się widokiem tętniącej życiem Warszawy. Gdy oglądaliśmy wielkoformatowe prace Maćka, było dla nas jasne, że to miasto jest dla niego niezwykle ważne. Tym większe było nasze zaskoczenie, gdy na pytanie o Warszawę nasz rozmówca lekko się skrzywił. Stolica, mimo swojej barwności, jest dla niego miejscem, które budzi żal. To żal architekta, że już nigdy nie będzie taka jak przed wojną – zachwycająca nie tylko w naszym lokalnym mniemaniu.



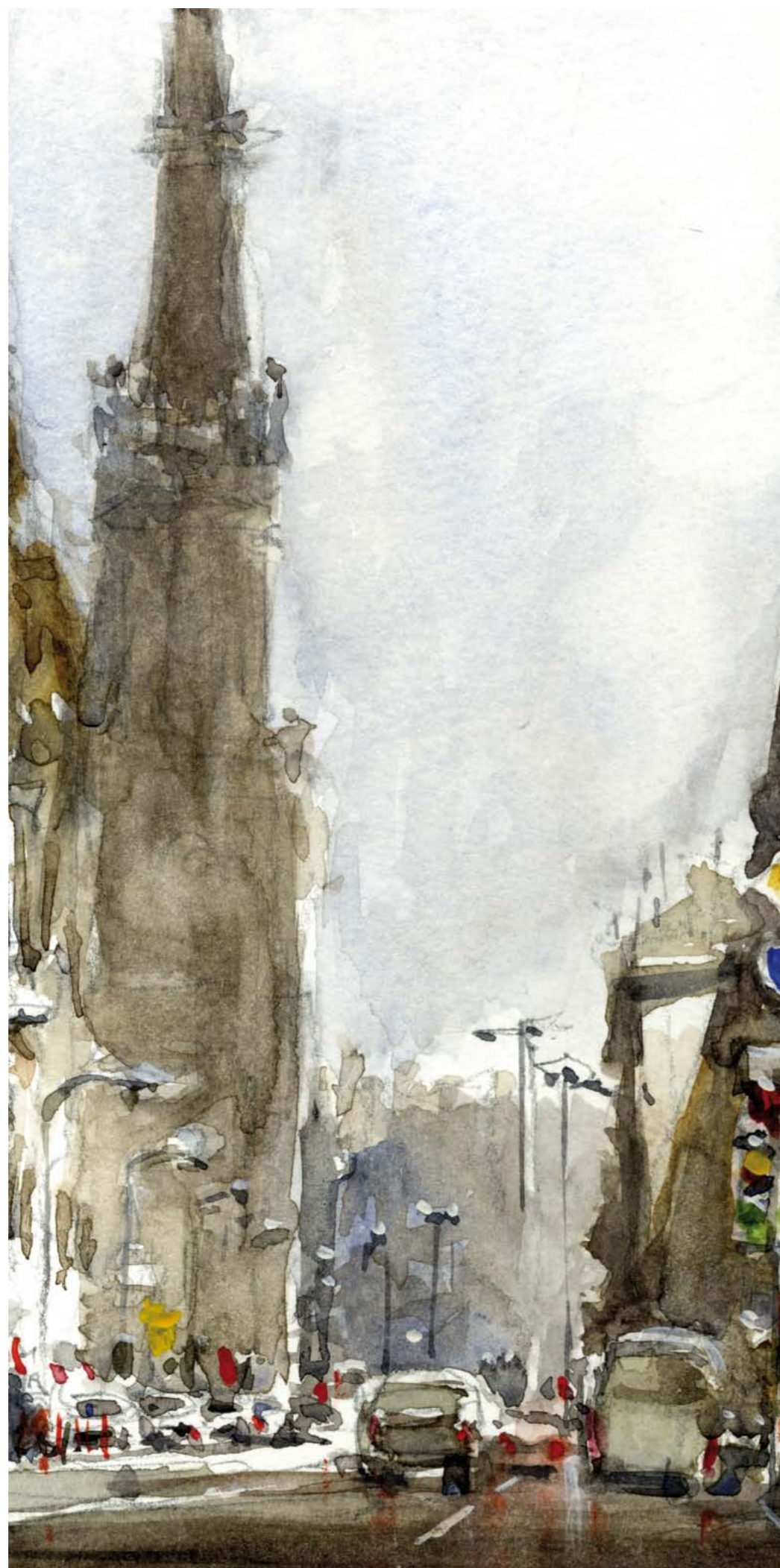
Maciek ma też sentyment do Krakowa, ale przede wszystkim do Suwalszczyzny z okolic jeziora Jaczno, którą uwielbia malować w jej melancholijnej, rozmiękłościowej szacie. Z tych akwarel jest najbardziej zadowolony, jednak wciąż nie poprzestaje w pościgu za „biegłością absolutną”. Nie pozwala sobie na chwilę wytchnienia. Twierdzi, że musi jeszcze popracować nad jak najdoskonalszym uchwyceniem wody. Po początkowym doświadczeniu akwareli Maciek nie zdecydował się przenieść na „cięższe” techniki malarskie. Akwarela jest lekka i wdzięczna w odbiorze, niebywale elastyczna, ale wymaga wiele doświadczenia. To, co na płótnie można poprawiać w nieskończoność poprzez nakładanie kolejnych warstw farby, w akwareli jest możliwe tylko w znikomym stopniu. Mimo pozornej niefrasobliwości technika ta najwyraźniej oddaje umiejętności warsztatowe twórcy. To nieustanna walka o kontrolę nad tym, jak się farba rozleje, jak dobrać papier, by właściwie ją wchłaniał, oddając nastrój malowanej sceny. Zupełnie tak, jakbyśmy mieli do dyspozycji mnóstwo klocków, z których można zbudować wspaniałe struktury, ale w razie jakiegokolwiek błędu trzeba wszystko zburzyć i stawiać od nowa. To zadziwiające, że w efekcie wcale nie czuć tego napięcia, nieodłącznie towarzyszącego procesowi twórczemu.

Kara za perfekcję

Obserwując Maćka, mamy wrażenie, że na warszawskiej ulicy czuje się jak we własnym domu. Cieszą go smaki i dźwięki. Jednak pod pozorem luzu kryje się wspomniane napięcie. Jest ono rezultatem dążenia do nieosiągalnej perfekcji; każde, nawet najmniejsze fiasko w jej poszukiwaniu jest dla mojego rozmówcy karą. Jeśli akwarela się nie uda – kara, jeśli się uda – też! Koło się zamyka. To trochę tak jak w przypadku testu na inteligencję, który robi sobie bardzo bystry człowiek. Każdy wynik jest zły. Niskie IQ to tragedia, a jakkolwiek wysokie by ono się nie okazało, i tak zawsze będzie za mało. Twórczość Maćka rodzi się z ciągłego niezadowolenia, ale dzięki temu jest dynamiczna i nie zasłania się pojęciami „własna ekspresja” czy „indywidualny styl”. W jego akwarelach jest więcej miejsca dla precyzyjnego odwzorowania i perfekcyjnego efektu niż dla wyrazu artystycznego. Wciąż chce być dla siebie bardziej architektem niż artystą.

Zdjęcia Iwa Pawlak

Strona artysty: www.sztukaakwareli.pl



zdj. dzięki uprzejmości artysty